



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GŁOCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

KRÓL AGIS ¹⁾

DRAMAT HISTORYCZNY W 3^{ch} AKTACH

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Ze zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki Ossolińskich

podał

Henryk Biegeleisen.

* OSOBY:

- Agis IV, Król Spartański,
 - Agiatis, jego żona,
 - Agezstrata, jego matka,
 - Archidamia, jego babka,
 - Agezylausz, jego stryj,
 - Leonidas II, Król Spartański,
 - Krateryka, jego żona,
 - Chelonida, jego córka,
 - Kleomenes, jego syn,
 - Kleombrotus II, jego zięć,
 - Aratus, naczelnik Związku Achajskiego,
 - Arcezylausz
 - Demades
 - Demochary
 - Amfares, Spartanin.
 - Sferus, filozof.
- przyjaciele Agisa,

Chór, Eforowie, lud mieszczenie, goniec, kat, duchy i t. d. Rzecz dzieje się w Sparcie około 240 r. pr. Chr. Jedna scena w obozie pod Koryntem.

1) Tytuł dramatu, *Agisilausz*, dany przez Słowackiego, zmienilem na powyższy. Agisilausz, grający podrzędną rolę w dramacie, miał wprawdzie zająć pierwsze miejsce i takiemu zamiarowi odpowiadał tytuł; ale w ostatniej redakcyi dramatu tytuł ten wydaje się już niewłaściwym.

* oznacza wyraz dodany w napisach podziałowych dramatu. W samem brzmieniu dyalogów niezbędne uzupełnienia logiczne brane są w klamry i kursywowane. (Przyp. Red.)

*** A K T I.**

*SCENA I

*1-szy z ludu

Co tu robisz?

*2-gi z ludu

Czekam na jakiego Efora.

*1-szy z ludu

A po dyabła ci Efor?...

*2-gi z ludu

Mam długi.

*1-szy z ludu

Długi nie powinny mieć miejsca w Lakonii. Likurg zaprowadził krótkość w mowie: więc długi są przeciwno prawom Likurga. Nie czekaj więc waćpan na Efora, ale krzyknij: „Efora za drzwi!“ na panów dłużników—i skończ interes bez Efora w forum domowem.

*2-gi z ludu

Żartujesz waśc—a mnie długi ¹⁾ jedzą....

*1-szy z ludu

Sparta, dobrodzieju, podobna jest do pcheł chudych, które, zaprzężone, ciągną rydwan złoty króla Leonidasa ²⁾.

*2-gi z ludu

Prawdę mówisz.

1) „Pchły“.

2) „1-szy. Agis twoje długi zniszczy a zamieni je w pchły, bo jak ziemię podzieli, a zaprowadzi powszechną nędzę, to nie będzie innych kredytorów oprócz robotwa, które cię schwyty za kołnierzy i dopomni się o podział koszuli“.

*1-szy z ludu

Agis, mospanie — młody królik z czerwonymi oczyma.

Bo się spłakał — a dziecko na pasku
U matki i babuni. Choć król — nie nie może.
Pieniędzy chce — to musi udać się do matki.
A matka znów do matki za synem się wstawia:
Aż dopiero starucha Archidamia w czepcu
I w rańtuchu nałaje nabureczy, i sama
Ze skrzyni grosz albo dwa — a wszystko sple-

śniałe
Grosze, od gwiazd niebieskich starsze—wyjmie

z kufra
I da, a pierwej spyta: „na co?“ raz i drugi,
„Na co chce twój Agisek pieniędzy?“ Starucha
Spartę-by dziś kupiła dla swojego syna,
A nie chce kupić butów.

*2-gi z ludu

Przesadzasz, mospanie!
Wszystko się na tej ziemi przesadza: i ludzi
I drzewa. Leonidas król sam przesadzony
Z satrapa u Selenki dziś na Spartanika ¹⁾.
Z opiekuna, którym był, na pana i króla.

*1-szy z ludu

Tak, lecz Agis....

*2-gi z ludu

Agiskiem go, mówię, nazywaj
Bo młody szczygieł, choć król, i ten przesadzony
Z Likurgowego wieku w ziemię tej epoki,
Która dlań jest prawdziwą opoczystą ziemią;
Bo chłopiec zda się, w szkole był laurami bity—

1) „Z opiekuna królewskich dzieciątek na króla“.

Laurową, mówię, różgą—uczony rozumu
I powagi, a przecież ¹⁾....

***I-szy z ludu**

Cyt—Agis nadchodzi
Z Agezylajem, stryjem króla... Muszę zmykać...
Agezylausz, to mój kredytor.

***2-gi z ludu**

Mój także.
(*Odchodzi*).

***SCENA II.**

Agezylausz

Pozwól mi: na tych ludzi wyrok mam, a dobrze,
Ze ich tu przydybałem: winni mi są....

Agis

Puść z Bogiem!

Agezylausz

Gdybyś wiedział, jak trudno jest zdybać dłużnika!
Kamfora to, kamfora!

Agis

Puść ich, mówię, z Bogiem.
Odpuść im, jeśli dłużni, właśnie pospartańsku!
Przyrzekłeś mi, że będziesz odpuszczając....

Agezylausz

Przyrzekłem,
Nie zaprę się, przyrzekłem; kiedy stanie prawo
Kassujące dług wszelki, to ja, tak jak drudzy,
Skrypta popalę. Prawo—święta rzecz; ja prawo
Wydam i uszanuję. I dlatego właśnie
Dzisiaj, dopóki prawo jest płacenia długów,
Jako wierzyciel, ścigam swoje debitory....

Agis

A oni uciekają.

Agezylausz

Bezsumienni ludzie....

Agis

Widzisz, trzeba poprawić spartańską naturę
Z gruntu, wziąć serce ludzkie i odmienić w rękę,
Jako jaje kamienne w orła, i wypuścić,
Skoro uczujesz, że się w dłoni przemieniło....
Pomóż mi więc, i sam się rozgrzej—bo, zaprawde,
Jeżeli mi przejdziemy nad tą Spartą biedną,
Jak nieplodne istoty, to same kamienie
Wstaną i, przywoławszy na pomoc ruinę,
Założą nowe śmierci królestwo....

Agezylausz

Tak sądzę.

Agis

W rękę kobiet są, jak wiesz, największe pie-
[niądze,
I potrzeba to wyznać, że w kobiecych ciałach
Są najmocniejsze dusze—a zaś w trybunałach
I w szykach zamieszkały fałszy i tchórzliwość.
Idź, — w moim własnym domu obudź wdzięk i
[tkliwość

Nieszczęściami ojczyzny... Niech życia ostatki
Przepędzi pokrólewsku matka mojej matki,
Widząc, że swoim trzecim pokoleniem budzi,
Jakby różyczką anioła, przedwiekowych ludzi,
W kraju, gdzie je duch grobu przemienił na
[węze!

Jeżeli stara zadrży, powiedz, że zwyciężę,
Bo mi przyrzekły Bogi snem.... Agezylustracie ²⁾
Nic nie mów: sama za mną pójdzie; duch jej
[dzielny,

Jak mój, zda się, do ciała wstąpił nieśmiertelny ¹⁾
I kilku wieków kwiatem rozkwitnął. Idź, proszę,
Do kobiet i te prawa, które dziś ogłoszę,
Rozjaśń przed niemi; powiedz, że sama Iryda
Na tęczy je przyniosła.

Agezylausz

A ty?

Agis

Do młodzieży,
Która się już zebrała przy dawnej świątyni
Kolkoidos ²⁾ i czeka na mnie.

Agezylausz

Wielkie dzieło!

Agis

O! ileż dzień błękitny jeden mieści w sobie
Wypadków, nim doścignie Apollo ognisty
Fal, gdzie mu sen i srebrne łoże ³⁾ Oceanki
Zgotowały! O, ileż takich dni upłynie
Obróconych na ten dzień twarzą i oczyma
Zapatrzonych ⁴⁾ na czoło Agisa!—O, Sparto!
Jakim ty czarem serceś mi rozmiłowała,
Jakiegoś ducha w mojej zamknęła koronie!....

Agezylausz * na stronie

Na Laked[em]ończyka gada za wiele.

Agis

Co mówisz?

Agezylausz

Błogosławię, że Agis król się nam urodził
I młody jest: więc długo dla Sparty pożyje.

Agis

Ci, których słońcem swoim Bóg w oblicze bije,
Prędko idą pod ziemię spać i szukać cienia.
Bądź zdrow! a nie trać serca.... (*Odchodzi*).

Agezylausz * sam

Mojego imienia

Był tu niegdys król wielki.—Imię moje stare
Winduje mnie na górę; czy chcę, czyli nie chcę,
Muszę Agezylauszem być—a losy chciały
Rewolucją uwolnić mię od wierzycieli,
Których mam więcej, niż psów.... O! szanowne

[wielce

Są wyroki i burze ogniste z płomieni,
Z których człowiek wychodzi jak amiant wy-
[myty,

Bielszy, niż płótno, długo leżące na blechu
Dni zwyczajnych ⁵⁾! Do matek króla teraz
[spieszę ⁶⁾.

1) „Nic nie mów—sama za mną poleci i o stracie Żadnej my-
śleć nie będzie, ani o ruinie, Póki jej nie zobaczy w swo-
im własnym synie”.

2) To jest przy świątyni *Chalkioikos*, nazwanej tak od spizem
pokrytych ścian.

3) „srebrne łoże Tetydy usłane. I Syreny na łaniach złotych”.

4) „Patrzących się”.

5) „W dniach zwyczajnych”.

6) SCENA II.

Archidamia (Charikleia), Agezylustrata, Agiatis, Niewolnice.

Agiatis

Agezylustrato! Ty, matka Agisa,
Proś go, niechaj się strzeże, i mnie, żony,
Nie zaniedbuje.

Agezylustrata

Cóż tu jest za skarga?

Agiatis

Wczoraj, kiedy szłam po lustralną wodę,
Ów Kleomenes, syn Leonidasza
Króla, zrodzony z podlej niewolnicy,
Z *gubernierami* idąc do kościoła,
Dobiegł do muszli i w świętej miednicy,
Pierwej nim święte w niej zmoczyłam ziola,
Umoczył ręce.

Archidamia

Cóż, Agezylustrato,
Na co się wnuczka moja miła skarży?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Obowiązki kobiety oświeconej

WZGLĘDEM KOBIECIE NIEOŚWIECONYCH.

Smiles pisząc swoją wyborną książkę: *Obowiązek*, zapożyczył się u starego greckiego filozofa w zobrazowaniu moralnego naszego stosunku do świata. Każdy z nas stanowi względem samego siebie środek, który przecież jest opasany przez wiele kół, zataczających się kręgiem coraz-to szerszym. To obowiązki. Każdy stosunek człowieka do człowieka, każda zamiana uczucia, myśli, użytkowanie z pracy ludzi innych, wytwarza je nam — te zobowiązania rozmaite, które zowiemy obowiązkami. Mamy obowiązki względem rodziny, względem kraju i społeczeństwa, wśród którego żyjemy—mamy wielki obowiązek względem ludzkości, przedstawiającej nam się w każdym człowieku, spotkanym na drodze naszego życia. Zali wolno nam przejść obojętnie koło nędzarza bez ręki lub nogi, żebrzącego chleba? Czy jałmużnę naszą damy mu natychmiast, pod siłą litosnego wzruszenia, czy też obmyślimy dla dobroczynności naszej środek inny, mający skuteczniej złemu zaradzić i działamy przez instytucje miłosierdzia publicznego, niemniej każdy człowiek, posiadający jakietakie mienie, poczuwa się do obowiązku pomocy na rzecz ubóstwa, słabości, nędzy, która sama sobie radzić nie może. Poczujemy się podobnie względem każdego człowieka do rady dobrej, do wskazówki, nauki, nawet strofowania, jeżeli widzimy, że popełnia coś szkodliwego sobie, lub innym i poczucie to jest w nas tak silnem, tak wrodzonym, że często działamy pod jego wpływem mimowoli: — Człowieku! tak idąc zbłądzisz... człowieku! tak idąc upadniesz.... zawołamy nieraz pierwej, niż pomyśleć możemy, czy rada nasza przyjętą zostanie — Co czynisz nieszczęśliwy! co czynisz nędzny!—wykrzykujemy podobnie na widok jakiegoś czynu szaleństwa, lub bezprawia i tłum nieznanych ludzi zbiega się naraz, aby przeszkodzić, czy nieszczęściu, czy występkuw jakiemuś.

Działa tak obowiązek, z uczucia braterstwa, ludzkiego w piersiach nam powstały, i chyba już wyjątkowo zimny człowiek nie doświadcza tych drgnień serdecznych, z których się w nas rodzi; piętnujemy też takiego wstrętną nazwą egoisty, samoluba, niezdolnego kochać nic poza życiem lub korzyścią własną. Ale człowiek przeciętny, człowiek każdy, który najgorszym nie jest, poczuwa się do obowiązków względem bliźnich tak, jak każdy nienajgorszy obywatel swego kraju poczuwa się do wspólności w dźwiganiu ciężarów sprawy ogólnej — do obowiązku ofiary na rzecz powszechności swojej. Tu przecież, jak zresztą we wszelkiej rzeczy ludzkiej, potrzeba pewnej summy myśli rozumnych, abyśmy rozmaitym stronom obowiązków naszych skutecznie zadość uczynić mogli, znając je i rozumiejąc w odcieniach różnych. Czasami przesąd, wiekami trwający, wyrabia zaćmienie wzroku moralnego, i wtedy przestajemy widzieć rzeczy pewne w ich świetle prawdziwym i tego, co przyjmujemy w zasadzie, co w zasadzie uważamy za świętą powinność naszą, w praktyce życia nie wykonywamy przecież, mniej z braku dobrej woli, niż z braku świadomości—przez zatracenie w sobie poczucia tego obowiązku.

Każdego, kto jest głodnym, nakarmić, nagiego okryć, skaleczonemu ranę obwiązać—uważamy za obowiązek nasz, bez żadnej różnicy stanu, pochodzenia; ale patrzymy spokojnie na tłumy, które obok nas w ciemnocie żyją i przez ciemnotę, przez brak pojęć o otaczającym je świetle cierpią, a nam nie przychodzi nawet do głowy, aby obowiązek wsparcia pod tym względem, zaradzenia temu złemu, ciążył na nas. Wprawdzie kwestya oświecenia warstw ludowych jest dziś na porządku dziennym; ogranicza się to przecież do zakładania szkół, a gdzieniedzie jakaś dusza poczciwa uczy prostactków czytać, dając im przez jakgdzieby klucz do otwarcia sobie tych podwoi, poza któ-

1) „uczony świegotac starą, dawną piosenkę”.

2) Zamiast „Agezylustracie” było: „Do mojej matki”.

remi znajduje się kraina światła. Ale z kluczem w rękę można nigdy do zamku zaczarowanych drzwi nie trafić, i sama nauka czytania jeszcze kwestyi oświecenia klas ciemnych nie rozstrzyga. Jest to już wprawdzie coś, jest to już nawet bardzo wiele; zdolniejsze, energiczniejsze, śmielsze natury zawsze sobie tym sposobem coś zdobędą: jakąś okruszynkę wiedzy znajdują, jakiś promyk światła pozyskają i wśród czerni dołem zbitej zaczyna prześwitywać—odrobinę. Powoli, powoli światła przybywać będzie, aż dzień się zrobi takim zwykłym porządkiem, jak robił się on dla innych; jednak jest to przyszłość dopiero i przyszłość odległa, a tymczasem my mamy światło, a u innych jest ciemno, my posiadamy wiedzę, a inni są nieświadomi: a jakaż to jest liczba tych, którzy uważają sobie za powinność ludzką udzielić coś z dobra tego żyjącym obok nas bliźnim i współobywatelom?

Wszędzie, gdzie kobieta występuje z prawem swoim do wiedzy wyższej i pracy w zakresie szerszym, czyni ona z tego sprawę solidarną kobiecości całej. Broszury, dzienniki poświęcone temu przedmiotowi, tak ją traktują i pisze się niezmiernie wiele o nauce, o pracy kobiecej światła całego, lecz jak też wiele wspomniemy stronniczek tego ruchu, rozszerzyło sobie myśl o wyższej wiedzy kobiecej do tych tłumów biednych, najwięcej, najpilniej oświecenia potrzebujących: do kobiet z ludu? Raz jeszcze powtórzę, że mniejszym tu jest brak chęci pocziwej, niż moralnego poczucia w tym kierunku: zapominamy mieć serce dobre, bo nie myślimy wcale, że go tu użyć potrzeba — że go tu użyć należy. Rozdział, który się między klasami wyrobił, jest temu winien, i sądzę, że dość jest myśli kobiety klas wyższych w tę stronę zwrócić, aby uczucie siostrzanego obowiązku budzić się zaczęło — aby uczucie szlachetne zagrało w piersi kobiety lepszej, tkliwszej, ale i nie leniwej, bo pracą to jest—oświecać. Czemu ci, którym światło nieść chcemy, ciemniejsi są, czemu umysł ich w ciemności dłużej się zastał, tem jest sprawa oświecania ich trudniejsza i oni sami tem mniej oświecenia tego pragną. Niemniej każda wykształcona kobieta dobrej woli powinna uważać to sobie za takisam obowiązek ludzkości, jak ulgę daną w cierpieniu, jak pomoc niesioną w nieszczęściu.

Ciemnota umysłu tak niewątpliwie sprowadza cierpienie, tak niewątpliwie jest nieszczęściem brak wzroku u niewidomych. Popatrzmy się uważnie, a spostrzeżemy, że niewiedomość potęguje dla warstw nieoświeconych każde zło fizyczne, a tamując rozwój wyższych władz ducha, nie dopuszcza do tych ucies, i pocies szlachetnych, które są kwiatem na niwie życia, kropłą słodczy w kielichu istnienia naszego. Nie trzeba nawet tego dowodzić, i to już, że my sami wyciągamy dłoń ku światłu, że go pragniemy dla bliższych nam i sercu naszemu drogich; że rodzice klas oświeconych często przez ofiarę najwyższą usiłują je zapewnić dzieciom swoim, — to samo już mówi za siebie. Skoro tylko ludzkość wyszła z dzieciństwa, pragnienie światła, żądza wiedzy, instynktownie pierś jej rozpięła: myt Prometeusza powtarza się wiekuniście w ludzkości: wiekuniści Tytany rwą się ku niebu po iskrę świętą. Udzielić jej ciemnym, jest też takim obowiązkiem człowieka, względem człowieka, jak dać chleb ustom głodnym, — wodę ustom spragnionym.

Ale wykonywanie praktyczne tego obowiązku jest trudniejszym owiele, i nie z tej tylko przyczyny, że datek materialny ze strony dającego jedynie ofiarą grosza, więc jakiegoś materialnego używania, opłacić się potrzebuje. a tu dawać musimy częściej własnej naszej osoby. Jest też to obowiązek wyższego znaczenia, wyższą zesługę jednający; że przeciw nad stosowaniem go w życiu zamyslić się i podumać trzeba — to rzecz pewna. Wspomnieliśmy, że sama nauka czytania tu niestarczy, że dla większości tłumów nieoświeconych, samo poznanie litery, martwą literą nazawsze pozostaje i trzeba jednocześnie innego jeszcze współdziałania, aby światło ożyweze wyblęsnąć z tego mogło.

Trzeba żywego słowa, trzeba komunii myśli—

trzeba pewnego obcowania umysłu ciemnego z umysłem oświeconym.

Nie należy przecież rozumieć przez to wykładu lekeji ustnych: szkoły lub prelekcji. Pociąga to za sobą najpierw koszta, które niekażdy ponosić jest w możności, powtóre, niekażdy wedle woli i celów swoich nauczać może, a często i w tem nawet wielka trudność leży, aby nauki chętnych znaleźć i wkoło siebie zgromadzić. Jedna jest tylko metoda prawdziwie skuteczna oświecania dorosłych: metoda Sokratesowa. Wchodzić między ludzi i przestawać z nimi, nie z katedry nauczać, ale rozmawiać, pytać i odpowiadać, brać za przedmiot nauki swojej życie samo, jego wypadki i koleje, aby promyki światła zapalać w umysłach, do czynności rozbudzonych. Każda pani na wsi ma do takiego oświecania pole szeroko otwarte; ma do tego sposobność każda pani miejska, która sługi trzyma. Dobrotliwie, poprzeciwiżeniu zbliżyć się i życzliwy stosunek zawiązać, naprzykład jakąś pracę domową współdzieląc. Trzeba sobie najpierw pewien plan zrobić, pomyśleć nad kierunkiem, obrać przedmioty, przez które się pragnie światło niecić, wiedzę w umysły nieświadome wprowadzać, i wedle okoliczności to stosując, założenie swoje przeprowadzać. Matce dawać rady, jak dzieci wychowywać należy; żonie powiedzieć słówko o jej powinnościach jako towarzyszkii męża i „pomocy, którą mu Bóg uczynił“. I coś o obowiązkach społecznych człowieka, coś o obowiązkach jego względem własnego ducha, a prztem pewne wiadomości o świecie i naturze, o ludziach i narodach, tak prawie podawać, jak prządka prządce bajki opowiada. Nauka higieny, — co to za cenny nabytek! Gdy prosta kobieta zrozumie cośkolwiek, co to jest powietrze, czem jest dla organizmu pokarm, jaką powinna być odzież, — nie tylko niezmiernie wiele zyska, że tych elementarnych wiadomości o pierwszych potrzebach człowieka trochę nabędzie, ale nauczy się prztem już nieco myśleć, umysł do tej pracy nakłaniać a skoro raz zaprawi go do niej, już potem zrozumienie każdej nauki łatwiejszem jej się stanie. Może zrazu będzie na wiele rzeczy ramionami ruszać, może zrazu coś, dla nas prostego, dla niej bardzo niezrozumiałem się wyda — jednak powolne działanie pracy oświecającej nigdy bezskuteczne nie pozostanie i wpływ cywilizacyjny przetrwać będzie w grunt, choćby najoporniej twardy. Tylko trzeba sobie za obowiązek wziąć, aby tak było — trzeba poczucie tego obowiązku w sobie wyrobić i uważać go za powinność, która jak tu, dwojaką jest, bo ogólnie ludzką i razem obywatelską.

To dla nas, abymy pracować mogli z silniejszą chęcią, z głębszem przeświadczeniem o pożytku, przedsięwziętego zadania. Ale istnieje i strona rzeczy druga: rzeczywistość, niepowierzchna korzyść tych, którym pracę tę niesiemy, i tu potrzeba bardzo uważnego namyslenia się nad przedmiotem. Najpierw idzie plan dobrze nakreślony, zastanowienie się nad nim, rozważenie go poważne, potem zręczność i miara w jego wykonaniu — zręczność i miara, zasadzająca się w połowie na uczuciu, które w przedsięwzięcie nasze wkładamy. Trzeba miłości, trzeba serdecznego ciepła, serdecznego poczucia się do węzłów braterstwa z temi istotami ciemnymi, które wydają się przez to niższymi od nas.

Dokończenie nastąpi.

KTÓS

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Trudno jednak oznaczyć będzie granice: gdzie cywilizacya zatrzymać się powinna i jakie-

go unikać kierunku? — rzekł Sylwan. — Ja jestem fatalistą i wierzę w prawa konieczne, tak, że nawet pewne zwicnięcia i wykolejenia przyjmuję jako zbawienne intermedya w historii ludzkości.

Słuchała z uwagą Michalina, lecz nie chciała dalej w tym tonie prowadzić rozmowy. Zwróciła ją na sztukę i pytała Horpińskiego? czy ją lubił i czy cenil?

— Bo — dodała z uśmiechem — ja jestem tak wyrozumiałą, że przypuszczam nawet, iż ktoś może nie kochać tego, co dla mnie jest treścią życia i niezbędnym jego warunkiem.

— Przykro mi, żeś pani nawet wątpić mogła otem, iż mnie sztuka niejest obojętną i obcą — począł Sylwan. — Nie jestem ani artystą, ani nawet dyletantem — ale nie pojmuję człowieka, pozbawionego zmysłu sztuki... bo w niej skupia się, co ma najlepszego życie.

Oczy Misi zajaśniały.

— A! tak — rzekła wesoło — i dlatego żaden artysta, prawdziwy, rozumie się, natchniony, powołany, nigdy się na los swój nie pominiem uskarżać: a tymczasem...

— Bo między artystami dużo jest rzemieślników — dodał Sylwan.

— I rzemiosło jest niezbędnie artyście potrzebnem — wtrąciła p. Michalina — tylko nie powinno opanowywać, ale służyć do wyższych celów. Technika kunsztu każdego jest — niestety — rzemiosłem.

Powtórnie już rozmowa obojga rozprawiających mimowoli wytoczyła na takie bezdroża, że długo na nich utrzymać nie mogła.

Misia zamilkła, rozglądając się po salonie. W tej chwili przystąpił z miną wielce śmieszoną galanta Lurski i francuszczyzną wysmienitą zagadnął pannę o jakąś sprawę wielkiego świata. Była mu prawie wdzięczną, że ją wybawił od zbyt już przedłużonego *tête à tête* wśród salonu z Horpińskim, bo oczy zawistnych zwracały się na nich. Sylwan, jakby to uczuł także, rozpoczął obojętnie gwarzyć ze stojącym najbliżej starym szambelanem, który, raz w życiu przetłómaczywszy coś z Montalamberta, żył na tym swym przekładzie, obwołany znakomitym myślicielem swego czasu; dosyć było wówczas dotknąć się de Maistra, Bonald'a, Lamena's'ego, Ozanam'a, Nicolas'a — aby mieć prawo do laurów filozoficznych.

W dalszym ciągu wieczora p. Michalina raz jeszcze się znalazła w bliskości Horpińskiego i zamieniła z nim kilka słów, z których niewiele — wyciągnąć zdołała.

A — była ciekawą.

Przenikliwa, mająca instynkt w poznawaniu i odgadaniu ludzi, Misia niecierpliwiła się tem, iż, Horpińskiego widując oddawna, spotykając się z nim — ani odgadnąć, ani przeczuć go nie mogła.

Był dla niej sympatycznym, a ta lodowata powłoka, która go okrywała, której nie zrzucił dla niej nawet — drażniła ją. Myliłby się, kto-by sądził z tego, że bardzo przystojny Sylwan podobał się tak bardzo pannie Zawierskiej i że ta ciekawość kryła w sobie uczucie głębsze, że była zarodkiem miłości. Dotąd nie wyszła ona z granic ciekawości.

Dlaczego Horpiński tak się taił z sobą?

Już po drugiej tej rozmowie króciuchnej z nim, p. Michalina, w dobrym humorze, spotkała się z Paczkuskim. Emil nie miał nic pilniejszego nad wesołe wypowiedzianie się jej — że spostrzegłszy, jak ją zaciekawiał tajemniczy p. Sylwan, próbował już rozbić otaczające go chmury, ale dotąd mu się to jeszcze nie udało.

— Jednakże — dodał — tak wziąłem do serca rozkaz pani....

— Ale ja nigdy nic nie rozkazywała.

— Życzenie jej.

— Jakże pan możesz myśleć, iż mnie tajemnica p. Horpińskiego — tak silnie obchodzi? — odezwiała się, nie obrażona, ale rozśmieszona panna Zawierska.

— Dlatego to przypuszczam — odparł Emil, że ja sam — przyznaję się pani — jestem nią do żywego poruszony. Bądź pani sędzią. Ten człowiek od lat kilku obraca się w naszych kołach, zyskał prawo obywatelstwa w najlepszych i najwybredniejszych salonach, nie można mu zaprzeczyć, że

na nie zastąpił, a żywa dusza nie wie: kto on taki, nikt nie zna jego przeszłości.

Misia patrzyła na tłuściuchnego Paczuskiego, rozgorączkowanego, i gryzła koniec chusteczki w białych ząbkach.

— Tak to wzięłeś pan do serca—rzekła żartobliwie, iż teraz nie wątpię, że dotrzesz do źródła i—okaże się iż—nie mieliśmy czego być ciekawi, ani ja, ani pan.

— O! to najprędzej się nam trafić może — potwierdził Emil, ale nie mniej moim jest obowiązkiem...

Śmiejąc się, odbiegła od niego panna, a Paczuski pozostał utwierdzony w tem przekonaniu, iż życzyła sobie zbadać tajemnicę i jemu powierzyła to posłannictwo.

Nic niemający do czynienia lepszego, Emil tymczasowo postanowił, choćby z narażeniem własnego spokoju, dowiedzieć pannie Michalinie, iż najtrudniejsze zadanie dla niego było łatwe. Szło o rehabilitację, gdyż zdało mu się, że go lekko traktowała.

W pomoc nie chciał brać nikogo. *Emi'o fara da se*, powiedział sobie żartobliwie i przy wieczery starał się tak manewrować, aby się znalazł przy panu Sylwanie.

Przyszło to bez wielkiej trudności, gdyż, do wieczery zasiadając, wszyscy wogóle mieli głównie na względzie sąsiedztwo pasztetów, pieczytostego, takich lub innych wina butelek raczej, niż pewnych osobistości.

Sylwan zajął pierwszelepsze wolne miejsce, a Paczuski pośpieszył usadowić się obok niego.

Miał na celu powolne zbliżenie się, spoufalenie, zaprzyjaźnienie. Lecz przy wieczery z drugiej strony siedzący stary wojskowy, gaduła, wziął tak w rekwizywę Horpińskiego opowiadaniem o kampanii tureckiej i szpitalu zapowietrzonych, iż Paczuskiemu z największą trudnością przyszło się wnieść do rozmowy. Nie odpowiadano mu nawet.

Miał przyjemność tylko raz podać musztardę Sylwanowi i dwa razy nalać mu wina, za co niemym uśmiechem został wynagrodzony. Do rozmowy nie przyszło, aż po wieczery, ale i teraz jakoś się nie kleiło. Zaczepili o teatr, Horpiński się odezwał: że czasem trudno bywa dostać bilet dobrego, tak niemi spekulowano. Paczuski pochwycił sposobność, aby się oświadczył jako *expertus* w tej sprawie, z przyjemnością służenia.

Podziękowano mu zimno. Wieczór, jak wszystko w świecie, skończył się, choć późno, i wszyscy z niego wyszli w tem lepszych humorach, że i biedne machiny—ciała, bardzo mile zostały ogrzane i podżywione. Emil miał wielką ochotę przeprowadzenia Sylwana ku jego mieszkaniu, ale ten mu się tak wymknął, jakby już w nim czuł natręta.

Schwyciwszy, w niedostatku jego, Józia, z nim poszedł Paczuski, mieniając spostrzeżenia dotyczące się głównych osób: p. Michaliny, kilku pań, kilku znakomitości, które się w salonie ukazały, a wostatku i Horpińskiego.

Nie uszło to niczyjego oka, że panna Michalina, dwa razy zaszczyliła go rozmową, i że zdawała się w niej znajdować przyjemność.

Józiovi panna się podobała bardzo ze swej uroczej piękności, i imponowała mu rozumem i taktem; ale patrzył na nią zdaleka, przejęty jakąś trwogą, i wyznawał przed przyjacielem, że gdyby miała, nie dwa, jak mówiono, miliony, ale cztery—i ofiarowała mu swą rękę—dałby drapaką. Emil śmiał się, mruczając o zielonych winogronach.

— Mylisz się — odparł Józio — ja tylko jestem do szpiku kości mężczyzną, i dostojność mojej płci wysoko cenię, a u takiej kobiety musiałbym być pod pantoflem.

— Józiczku kochany—zawołał Emil.—Pantofel, należy do rzeczy przeznaczonych. Ty się go boisz tam, gdzie on jest widoczny, dotykalny, a nie unikniesz jednak—gdy ci się w innej postaci ukaże, napozór mniej strasznej, w rzeczy groźniejszej daleko.

Powinieneś bowiem wiedzieć, że kobiety jak p. Michalina, mężów pantoflarzy nie biorą—uczuliby się pokrzywdzonymi, gdy skromniutkie i ciche dziewczątka mają na celu to jedynie, aby podbiły.

— Sofizmata!—odparł Józio.

Rozstali się, a pan Emil, zadumany, wszedł do swojego kawalerskiego mieszkania, w którym jeszcze parę godzin z cygarem przepędził nad gazetami, a wistocie z myślą upartą—śledzenia i badania Horpińskiego.

Plan był ułożony. Nazajutrz potrzeba było spocząć, aby się zbyt nieokazać natrętnym; trzeciego zaś dnia umyślił oddać wizytę p. Sylwanowi. Zapisawszy to sobie, wedle zwyczaju, na porcelanowej tabliczce, która programat tygodnia mieściła, Paczuski o godzinie dwunastej zadzwonił u drzwi, na których porcelanowy szyldzik stał z napisem:

„Sylwan Horpiński“.

Powolny chód dał się słyszeć z wnętrza i służący w fartuchu zielonym z trzepaczką w rękę, uiryzowany, w lakierowanych butach, drzwi z wolna otworzył.

Spojrząwszy na niego, Paczuski nie mógł powstrzymać uśmiechu zadowolenia — widocznie opiekowała się nim opatrność;—elegant ten, był mu znajomym dobrze: był to Konrad, lokaj, którego miał w swych usługach przez rok cały, a który odprawił się obrażony zbyt żywym słowem Emila.

Dawny pan i były sługa spojrzeli na siebie badająco. Paczuskiemu wypadło teraz być jaknajlepiej z p. Konradem.

— A! — zawołał wesoło — co za miła niespodzianka! Jakże mi się masz?

— Do usług jaśnie pana, bardzo dobrze — odparł z ukłonem poważnym elegant.

— Bardzo mnie to cieszy — rzekł Emil. — Jest p. Sylwan w domu?

— Wyszedł przed półgodziną?

— Nie wiesz dokąd, na jak długo?—spytał Paczuski.

— Nigdy pan tego nie powiada — odezwał się Konrad—nie wiem nic.

Powoli Emil zaczął szukać pugilaresika i biletu. Służący stał tymczasem, trzepaczkę wzięwszy pod pachę z pewną gracyą, bo chłopak był ładny i szło mu o to, aby się wydawał dystyngowanym lokajem.

— Jesteś więc u Horpińskiego—począł powolnie, ciągle biletu szukając, Emil—bardzo mnie to cieszy, bo sądzę, że miejsce dobre.

— Nie mogę się skarżyć — odparł Konrad—grzech-by było.

Paczuski spojrzął mu w oczy.

— Mnie was, p. Konradzie — dodał Emil — żal nie raz było. Jesteś gorączka, wzięłeś do serca słowo powiedziane z prędkości, bez złej intencji.

Przypomnienie przejścia tego nie zdawało się być przyjemnem panu Konradowi; poprawił odniechcenia utrefione włosy, uśmiechnął się i rzekł z powagą pocieszną:

— Każdy, proszę jaśnie pana, ma swój *honor*—człek ubogi, ale—co się tyczy *honoru*—to trudno.

— Ale nie mówmy już o tem—przerwał Emil—dobywając biletu i załamując go powoli. — Jeśli wam dobrze przy nowym panu....

— Juści dobrze—rzekł Konrad—choć nie bez tego, żeby nie był wymagający czasami.

— Ha! ha — przerwał Paczuski, przedłużając rozmowę—masz szczęście służyć u człowieka, którego tu w Warszawie wszyscy cenią i są go ciekawi—a choć go cały świat zna, sztuka w tem, że nikt o nim nic nie wie!

Konrad wprawiony w dobry humor, poufałym tonem rozmowy z dawnym panem, począł się śmiać także, zatarł loków, z nogi na nogę przestąpił, ujął się ręką jedną za drzwi, i rzekł potrząsając głową:

— Pan myśli, że ja, co mu służę, więcej go znam od innych? Jak Bóg miły—nie.

— No—przecież?

Ruszył ramionami p. Konrad.

— Albo ja co wiem!—Nic.

— Zawsze coś więcej niż my wszyscy, bo przynosisz mu listy i odnosisz na pocztę te, które pisze.

Konrad tak się śmiać począł, iż trzepaczka mu zpod pachy wypadła.

— Proszę jaśnie pana — listu u nas ani na lekarstwo nie znaleźć—zawołał.—On do nikogo nie pisze i do niego żywa dusza.

— Cóż znowu?—zaprotestował Emil—żarty!

— Słowo *honoru*!—rzekł żywo p. Konrad.

Nastąpiło milczenie. Dawny sługa dłuższą rozmową wprawiony był w dobre usposobienie; pochlebiali mu to, że p. Emil, rankoru w sercu nie zachowując, za oddalenie się nieco gwałtowne okazywał mu taką względność i rozmawiał z nim tak jakos poufale i mile.

— Czem-że się on zajmuje?—zapytał Paczuski. Dla Konrada było to zapytanie trochę trudnem do odpowiedzenia; musiał pomyśleć nieco.

Spuścił oczy, brwi podniósł, ustami poruszał, nogę to jedną to drugą podnosił i wspinał się na palcach.

— To trudno, proszę jaśnie pana, tak ogólnikiem powiedzieć. A cóż? Jak nie jeździ z wizytami, to czyta dużo: gazety codziennie od deski do deski, a potem książki, których dosyć zawsze leży porozkładanych. Czasem siadzie za stołem, podeprze się łokciami i jak zamysli się, albo weźmie ołówek i pocnie psuć papier, to bazgrze, bazgrze niewiedząc co—zederze—i w komin.

Począł się śmiać. Paczuski słuchał z ciekawością.

— Przez cały rok siedział w Warszawie?—zapytał.

— To jest ja, proszę jaśnie pana — odparł elegant—muszę... ale on — tu głos zniżył, jakby coś tajemnego miał zwierzyć dawnemu panu.

— Kilka, kilkanaście razy do roku zniknie, jak w wodę wpadł — mówił Konrad dalej.—Niema go dni dziesięć, pięć, piętnaście, aż naraz powraca, zmęczony, blade, smutny, wychudły, milczący.

Panu Emilowi, gdy słuchał, oczy się otwierały coraz szerzej: tu był węzeł tajemnicy.

— No—ale jakże się w drogę wybiera?—spytał z nateżoną ciekawością.

— Hm—otóż to jest, proszę jaśnie pana, że się wcale nie wybiera, że nie bierze nawet torby, nie, że czasem w lekkim surduciku, albo i we fraku wieczorem, jak pierzchnie, tak tyleście go widzieli. Żeby kiedy słowo powiedział: „jadę, wrócę za tyle a tyle dni!“

Najmniejszej rzeczy! Raz na zawsze takie jest prawo u nas, że ja, choćby go pół roku nie było, powinienem nie odstępować mieszkania. Pieniądze odliczone zawsze leżą na stoliczku w gabinecie na wszelki wypadek.

Tu potarł mocno włosy zniecierpliwiony p. Konrad.

— Proszę jaśnie pana—wyrwało mu się mimowolnie—co to za psie życie! Człowiek nie wie ani dnia, ani godziny. Bywało, wraca po nocy, czasem rano,—może przyjść o południu. Więc na krok się oddalić nie można, bo broń Boże nie zastałby w domu, a drzwi zamknięte....

— Cóż-by było? czy tak srogi?—spytał Paczuski.

— Nie—proszę jaśnie pana—srogi on nie jest, ale jak spojrzy, to człowieka przejmuje do kości, słowo daję... Grubiańsko się nie obejdzie nigdy—nie, to—to nic—ale oczy ma straszne.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Nowy Rok.—Nekrologia.—Nadzieje.—Polityka i A. Daudet. — Światło zodyakalne i pył kosmiczny. — Pogoda Spielbergu. — *Uhlenhans, Kobieta trzydziestoletnia*. — *Sara Barnum i skanda l. Posagi*. — Balzac. — Mickiewicz. — *Mój brat i ja*. Ernest Daudet. — Alfons, jego młodość. — Metoda Daudeta. — *Actualités*. — *Train rapide*. — *Texier i Le Senne*. — *Temata*. — H. Gréville: *Niewiniątka*. — Droga: *Smutki i uśmiechy*. — Ch. Edmond: *Drwalówna*. — *Portrety przez dyplomate*.

Sam jeden „jako wróbel na dachu“ — wedle słów psalmisty—kończyłem rok stary i rozpoczy- nalem nowy. Wpółnocnej uroczystej ciszy zdała uderzona w dzwony. Zdało mi się, że dosłyszał okrzyk, który witał przybywającego... bo tłumy zawsze na rynkach stoją o tej godzinie

i oczekują na gościa, którego potem żegnać będą bez żalu.

Co przyniósł i co po sobie zostawił r. 1883, trudno spisać i określić: wiele zawodów i bardzo obfitą ilość grobów ludzi, którzy na świecie byli potrzebni. Nasza nekrologia r. 1883, aż do ostatniej godziny, która przyniosła wiadomość o zgonie J. K. Żupańskiego, nadzwyczaj bogata w imiona zasłużonych. Pomiędzy niemi liczyliśmy wielu towarzyszy, przyjaciół, znajomych. Z boleścią przychodzi myśleć: kto ich zastąpi? Niech odpoczywają w spokoju, na który trudem zarobili i niech potomność będzie dla nich—sprawiedliwą.

Na bożym świecie, oprócz nadziei pokoju—nie nowego. W ciągu roku kilkukrotnie giełdy nam groziły wojną, aby zarobić na wywołanej przez nią panice; pod koniec uwierzono w to, że nikt się bić nie ma ochoty... a korespondent wasz, na ten raz nie ma ochoty rozprawiania o polityce i zgadza się z Alfonsem Daudet, który gdzieś o niej powiada:

„O polityko! nienawidzę cię!... Nienawidzę cię, bo jesteś grubiańską, niesprawiedliwą, krzykliwą, gadatliwą; bo jesteś nieprzyjaciółką sztuki; bo służysz za hasło wszystkim głupstwom, wszelkim ambycjom, wszystkim lenistwom. Ślepa a namiętna, rozdzielasz serca stworzone na to, aby się łączyły z sobą, a łączysz istoty, które rozdzielone być powinny. Ty jesteś wielkim rozkładnikiem sumień, ty uczysz kłamstwa, podejść i, dzięki tobie, widzimy uczciwych ludzi przyjaciółmi łajdaków, byleby do jednego należeli obozu. Nienawidzę cię nadewszystko, polityko, boś doszła do tego (we Francji?), że zabijasz w naszych sercach uczucie i ideę ojczyzny.“

Piszemy się na to z Daudet'em i na rok nowy wolimy w inną stronę odwrócić oczy, aby na politykę Niemiec, Francji i *tutti quanti* nie patrzeć.

Zaprawdę, nierozumiemy tych pisarzy dla ludu pracujących, którzyby radzi co najprędzej wtajemniczać swych czytelników w te arkana, bez których szczęśliwy, kto obejść się może.

Od kilku tygodni mamy na niebiosach powtarzające się prawie codziennie piękne światło zodyakalne, nad którego tłómaczeniem lamia sobie głowy meteorologowie i astronomowie. Bądźco bądź, jest to zjawisko uroczyste i ma w sobie coś tajemniczego. W ciągu kilkudziesięciu lat jakie zapamiętać możemy, nigdy się ono tak stale i długo nie ukazywało. Nie wiem, czy w związku z tem jest, w niektórych częściach Niemiec dostrzeżony szary pyłek, który osiadał na śniegu (tam gdzie był śnieg). Myśmy go tu dotąd prawie nie mieli, a mrozy też ani silne były, ani trwałe. W tej chwili przy pogodzie, słońcu i wysoko stojącym barometrze, cisza w powietrzu i kilka stopni ciepła. Cisza też uroczysta i w świecie literatury a sztuki. Oprócz mnogich zawsze ilustracji, nie uderzającego. Teatra wznowiają i powtarzają.

Spielhagen, którego „Uhlenhans“ słusznie wielkie ma powodzenie, skończył swój — dramat, obiecany od kilku miesięcy i oddał go podobno nie wiem jakiej dyrekcji, ale tytułu jego nie mamy jeszcze. 1). Obudza on już zajęcie. Spielhagen, o czem najlepiej przekonywa ostatnia, wyżej wymieniona powieść, w swoim rodzaju arcydzieło, jest w sile wieku i talentu, zna doskonale warunki wszelkiej kompozycji,—wiele się więc po nim spodziewać można.

We Francji—przerobiony na dramat romans Zoli, i tak samo udratyzowana powieść Ohnet'a: (*Le maître des forges*) są nowościami chwili. Sardou gdzieś w Nizy pracuje nad komedią. Skandaliczna *Sara Barnum*, której wydanie spowodowało napaść na autorkę,—tak jest rozchwytywaną, że do nas dotąd nie doszła. Fraszka talent, zanic geniusz obok głośnego skandalu: mówią o zamówionych 400,000 egzemplarzach tego paszkwila. Zaden romans Zoli nawet nie miał równego powodzenia. Niemniej książka po kilku miesiącach będzie zapomnianą i pozostanie tylko kilkakrotnie sto tysięcy franków w kieszeni autorki,

1) Tytuł: „Kobieta trzydziestoletnia“. Sztukę wzięto do teatru Burgu w Wiedniu. Wiadomość o tem świeżo nas dochodzi. (Przyp Aut)

która na swój koszt pierwsze wydanie zrobiła. O „Archipelagu Manchy“ Wiktora Hugo, który wyszedł współcześnie—prawie niema mowy...

Po monumencie dla Dumasa — bardzo późno przypominano sobie Balzac'a.

Uznany za protoplastę realistów — będzie i on miał pomnik w Paryżu, na który składki zbierać zaczęto.

My tymczasem czekamy, czekamy i czekamy na obiecany pomnik Mickiewicza w Krakowie, na który przeszło dwakroć sto tysięcy franków, (bo 100,000 guldenów) już uzbierano. Ale tym, co chcą jakichś niemożliwych rzeczy, tego jest jeszcze zamało. Jakgdyby Mickiewicz potrzebował coś więcej nad wspaniałą posąg jeden bronzowy, na dobrze narysowanej podstawie!

Odlanie posągu nigdzie w świecie tak kosztownem być nie może, aby pochłonąć 200,000 franków, a niech nas i Mickiewicza Pan Bóg uchwata, od dodatkowych figur allegorycznych i całego tego teatralnego aparatu, któryby głównej postaci odjął jej znaczenie, osłabił wrażenie, jakie czynić powinna. Czekamy więc dlatego tylko, że komitet krakowski nie wie, co poczyni, i chce tworzyć coś niebywałego na świecie — to jest dzieło, któreby wszystkich wymagania, marzenia i dziwaczne pojęcia zaspokoilo.

Jak się to skończy?—a nadewszystko: kiedy się to raz przecie skończy?? Są ludzie, którzy utrzymują, że gdy składki dojdą do 200,000 guldenów, summa ta jeszcze będzie uznana za niewystarczającą i pomnik odłożonym zostanie do przyszłego, da Bóg, wieku.

Smutne to są te nasze sprawy, w których zawsze albo pośpiechem zbyt, albo ociąganiem się aż do zubożenia grzeszymy.

Mówmy lepiej o książkach...

Przywiędliwszy wyżej ulamek z Alfonsa Daudet'a. O tym sympatycznym i najznakomitszym może z powieściopisarzy francuzkich brat jego Ernest, o którym we Francji powiadają z przekąsem: „Jest to brat tego, który ma talent“—wydał zajmujące autobiograficzne opowiadanie: „Mój brat i ja. — Wspomnienia dzieciństwa i młodości (Paris“ (Plon. 8-o, 286 pp.).

Pierwsza szczególnie część tych wspomnień, interesuje jako obrazek z natury, żywo i z uczuciem odmalowany. Ernest — chętnie młodszemu Alfonsowi przyznaje niezmierną wyższość Bożych darów nad sobą. Porównywać też ich między sobą nie można. Ernest pisuje także powieści—lecz nie przechodzą one przyzwoitej mierności i są podobne do mnóstwa innych, których tyle sypią, jak zrogu obfitości, księgarnie Plon'a, Levy'ego, Dentu, Havard'a, Charpentier'go i innych wydawców paryskich. Alfons, oprócz talentu, winien wiele przyjąć metody pracy, o której słyszeliśmy dawniej, a potwierdza ją opowiadanie Ernesta. Wszystkie postacie i tła jego powieści są brane z natury. *Mutatis mutandis*, każdy bohater jak w *Nababie* Bravay jest pochwycony żywceem, ze wzoru; każdy krajobraz wczesnie był zanotowany. Niezmordowany Alfons wszędzie, gdzie się znajduje, w czasie pobytu w Algierze, w Korsyce, na Południu, nieustannie notował wrażenia, charakter, widoki, rysy, które mógł później zużytkować.

Daudetowie pochodzą z niezamożnej rodziny robotników i fabrykantów a razem handlarzy jedwabów. Młodość obu upłynęła w warunkach bardzo ciężkich, prawie w niedostatku, który też na wychowanie ich wpłynąć musiał. Zdolności zastąpiły, czego mu brakło.

Zupełna prawie ruina ojca zmusiła braci szukać kawałka chleba o własnych siłach, a powołanie wskazało im drogę jedną z najcięższych: musieli na chleb zarabiać piórem. Tu jednak w tym Paryżu, w którym wielu tak ciężki nowicyat odbywać musi, Ernestowi powiodło się nadzwyczaj szczęśliwie, a on utorował drogę bratu, który się umieścił przy Morny'm. Pierwszy zbiór dał mu odrazu wziętość pewną, a następne nowelle i obrazki ustaliły ją i podniosły. Ernest, z wielkiem uwielbieniem dla brata, szczególnie nim się zajmuje, o sobie mówi tylko to, co jest w związku z historią życia Alfonsa.

Zanotowaliśmy wyżej, iż prawie wszystkie powieści ostatniego osnute są na tematach wziętych

wprost z życia, a główne typy ich są studyowane z natury. Literatura francuzka ostatnich czasów metody tej używa i nadużywa jej niekiedy; Daudet otwarcie się przyznaje, że Jack'a, Nabab'a, Rumestana, Ewangelinę—stworzył z danych, których mu dostarczyły jego notatki. Do pewnego stopnia jest to metoda wyborna, ale bardzo łatwa, przeraża się ona u innych w paszkwil, w pamflet niesmaczny, jak C. Mendès, ów „Król-dziewica“, jak „Faustin“, jak bardzo wiele innych romansów, w których żywe postacie złośliwie i potwarczo są wprowadzone.

Ci, co naśladowali metodę Alf. Daudet'a — nie przejęli jej dla jej wartości artystycznej, ale raczej dla zajęcia, jakie obudza zawsze coś pochwyconego z natury i odslaniającego skandale. Szczególniej też za skandalicznymi typami ubiegają się współzawodnicy.

Jedną z powieści, w których czas obecny i społeczeństwo francuzkie najwierniej się odbijają, a szczególnie napływ południowców (w rodzaju Rumestana) i zdobywanie przez nich stanowisk w Paryżu — jest „*Train rapide*“ pp. Texier i C. Le Senne. (Levy. 1883. 8-o, 406 pp.). Nie zdążyło się nam spotkać z opowiadaniem pisaniem na wspólną przez dwu współpracowników, któreby jednolitszem, żywszem było i — powiedzmy otwarcie — z większym talentem osnutem i wykonanem. Bohater (rodem z Pau), chciwy wszystkiego, co tylko życie dać może, bez serca, ale z talentem i pewną zręcznością, dostaje się do Paryża, gdzie wistocie „szybkim pociągiem“, z pomocą arystokratycznej średniego wieku projektorki, dochodzi do progu ministerium, do portfelu, władzy, do znaczenia i majątku. Po drodze pada ofiarą biednej dziewczę, które mu w wyprawie po złote runo towarzyszyło. Poświęciwszy Blaisette, zuchwały dorobkowiec, którego w kołach arystokratycznych przyjęto jako pomocnika, naostatek i opiekunkę swą, która go z nicości wprowadziła, gotów jest dla nienasyconej ambicyi poświęcić. Lecz w tej chwili, mściwa ręka losu, dosięga zuchwalca i strąca z tej wysokości... a biedna Blaisette, do której powraca poniewczasie — bo ją los obdarzył milionami — ze wzgardą zdrając odpycha.

Na tem bardzo prostem tle z wielkim kunsztem są odmalowane obrazy z życia społeczności francuzkiej, takiej, jaka ona dziś jest. Za główny motyw służy tu założenie owe główne banku, który przez chwilę zdawał się w świecie finansowym zupełny wywrót zapowiadać, a padł tak umiejętnie podkopany przez władców giełdowych. Tworzenie się tej instytucji, mającej popierać interesa zachowawcze, opowiadane jest z wielką znajomością rzeczy, tak, jak wszystkie inne epizody starannie wystudyowane i opracowane. *Train rapide* należy do najlepszych utworów współczesnych, chociaż dożył dotąd zaledwie drugiego wydania.

Pani Gréville przesłizne studium „*L'Ingénue*“ Niewiniątko — także wymienić należy, jako rzecz bardzo udatną i z talentem napisaną; autorka dotąd nie wyczerpała się wcale, i talent jej na żywotności, na barwie i sile nie stracił. Niewiniątko — chociażby się znaleźć mogło, jako produkt naturalny w każdym społeczeństwie i każdego czasu, jest jednak, tak, jak się nam tu przedstawia, szczególnie owocem naszego czasu i wychowania. I ten typ z pewnością zawdzięczamy, nie bujnej imaginacji autorki, ale czerpaniu z życia, które jest dla artysty jedynym źródłem niewysychającym nigdy.

Droz'a „Smutki i uśmiechy“, o których wiele się mówi i pisze, bo imię autora pociąga ku nim, są w istocie „Westchnieniami“ do lepszej przyszłości. Wiele tu prawdy, wiele postrzeżeń trafnych, przesłiznie zanotowanych piórem postarzałej, osamotnionej babuni, ale i wiele pesymizmu, który należy do znamion naszego wieku. Za każdą przeszłością się płacze, lecz ludzkość dlatego o przyszłości wątpić nie powinna. Droz zdaje się tracić nadzieję, aby młode pokolenia dorównały tym, z których urosły. Uśmiechów tu, oprócz ironicznych, niema prawie; smutków wiele.

Reakcja przeciwko współczesnym prądom w ogólności znamionuje w literaturze zwrot nowy.

Wywołać ją musiał naturalizm Zoli, który sam podobno w najnowszej powieści swojej ma dać uczuć, iż, doszedłszy do kresu—musi nowego żywiołu szukać dla swych utworów.

Z tego kierunku skrajnego korzystać tę otrzymała sztuka, iż studia z natury, że malowanie tego tylko, co się dobrze badało i zna, zostało uznane za warunek konieczny dla artysty. We wszystkich nowszych romansach jest to widoczne; nawet w naszego współziomka, Francuzom znanego pod nazwiskiem Charles Edmond (Chojceki), ostatniemu opowiadaniu „*La bucheronne*“, czuć studia przygotowawcze, krajobrazy i szczegóły, które powieści za podstawę służyły. Bohaterką jest kobieta, matka, jedna z tych ofiar, które dla pięknego imienia poświęcane są ze swemi milionami i młodością, aby odżywić usychające stare szczeny arystokratyczne. Typ to bardzo zużyty, bardzo znany, ale tyle jest wariantów w nim, tyle różnych odcieni, że „*Drwalówna*“ może uchodzić za postać świeżą. Po krótkim pożyciu z mężem, *Drwalówna* zostaje wdową z synem jedynakiem, którego wychowaniu się poświęca. Syn ten rośnie na ciełe i umyśle, krzepki, energiczny, przygotowany do zapasów z życiem, i naprzód, gdy go matka chce po swej myśli ożenić gwałtem z kuzynką książęcego rodu—gwałtownie się temu opiera.

Drwalówna wymaga od dziecka posłuszeństwa i rozbija się o niezłomną jego wolę, której siłę daje miłość.

Zbyt może czuć dramatycznego pisarza we wprowadzeniu rodzaju *Kalibana* — figury także niezbyt zdumiewającej oryginalnością, który jedynaka, syna *Drwalówny*, postrzela. Ale strzał ten, rana, wycieńczenie,—były autorowi potrzebne, aby mógł w powieści wprowadzić, także wystudytowaną starannie... „*transfuzję krwi*“. Ukochane dziewczę ofiaruje dla osłabłego własną krew, która, naturalnie, ułatwia małżeństwo... Energiczna matka daje się nareszcie zwyciężyć, a trzpiotowate stworzenie, które przeznaczała dla syna, zdobywa sobie męża jaknajdoskonalej zastosowanego do charakteru swego i temperamentu.

Powieść, napisana z wprawą wytwornego romansopisarza, pomimo wprowadzonych do niej postaci nacechowanych dobitnie, trochę błada, i czuć w niej, że nie Pan Bóg to stworzył, ale wymarzył człowiek, któremu coś napisać było potrzeba. Wymaganiom realizmu odpowiadają szczegóły o wyrobku lasów—o transfuzji krwi. Obok tragedii *Kalibana* żywioł komiczny, wprost z *Parzyża* wprowadzony, dodaje rozmaitości. O stylu i sposobie pisania mówić nawet nie trzeba. Charles Edmond pod tym względem nie ustępuje rodowitym Francuzom, którzy też liczą go za swego.

Daliśmy się uwieścić tytułowi portretów—*par un Diplome*. Nic sobie wyobrazić nie można nudniejszego a mniej do portretu podobnego, nad te elukubracje starego — odstawnego zapewne, dyplomaty, który, z ostrożnością stanowi swemu właścicielowi, maluje tak swych znajomych, ażeby w nich nic ludzkiego, nie charakterystycznego, nie pozostało. Wszystkie panie są idealami, wszyscy panowie pozują na zblakłych bohaterów przeszłości, którą *Droz* oplakuje. Z książki nie się dowiedzieć, nie nauczyć nie można, a przeczytać ją—mógłby chyba ktoś za karę!... Okropne!

NOWINY PARYZKIE.

Paryż d. 10 Stycznia 1884 r.

Przypadki i opowiadania kapitana Kurosza. Zamek w Hiszpanii. Zakład. „*Posępna szarada*“. Konkluzja. — Obchód rocznicy śmierci *Gambetty*. — Śmierć *Wiktora de Laprades*. — Kłuka słów o poecie i satyryku. — *De Laprade* i *Sainte-Beuve*. — Henryk Martin historyk, i polityk. — Jak się złożyła jego *Historia Francji*? — Ostatnia wola. — Pogrzeb cywilno-religijny. — Teatr — Pojedynek *Sary Bernhardt* z panną *Colombier*. — Nowa książka i stery skandal. — Nowa sztuka w Teatrze *Vaudeville'u*. — Upadek. — Przyczyny. — *Franciszek Copeć*; nowy jego dramat *Severo Torelli* — Powodzenie.

Pamiętam, jak w pierwszych latach mojego dzieciennego wieku, kiedy już mógł jednak

zrozumieć i zapamiętać wszystko, co się wokoło mnie działo, i co mi mówiono—pamiętam, jak kapitan Kurosz, stary legionista i towarzyszy broni mojego ojca, opowiadał mi nieraz dziwne rzeczy o swoich licznych przygodach w czasie długiej włóczęgi po świecie. Jak miarkuję dzisiaj, wiele z tych opowiadań były to prawdziwe bajki, przy których wszakże, młoda moja wyobraźnia już zapalała się gwałtownie i sama potem rozwijała dalsze następstwa—strasznym, ale dziwnym wypadków, opowiadanych nie bez talentu, przez starego kapitana.

Dotychczas—a ileż to lat temu!—widzę tę suchą, wyniosłą postać o starych, chudych rysach twarzy i o dwóch najezonych nad uszami resztkach wyłysiałej czupryny—widzę starego, z gitarą w ręku, śpiewającego jakąś dziwną kassydę, zaczynającą się od wiersza:

Choć na obdartym Derwiszu nie chwycą się raki,
a zakończoną tą dziwną przegrywką, turecko-polskiej satyry:

Hała pati szaja sa
Wirgin rubin Basza!

Tureczyczna ta, nakształt owej, z *Molierowskiej* komedii, dziś-by dała się może sprowadzić do właściwego brzmienia wyrazów, choć powiązanych bez sensu: *Allah! pati szahin szah, Wergiuun, Rabyna Pasza*.

Ale jakakolwiek jest ta pieśń, i jej tureczyczna, przypomina mi ona najlepsze, najszczęśliwsze czasy mojej młodości, a bodaj i życia. A choć ta postać starego legionisty, ma w sobie trochę owej śmieszności, która się wiąże z pewnym *Donkiszotyzmem*, jakby zapożyczonym zamlodu w *Hiszpanii* przez poczciwego Kurosza; przecież i ta postać, opromienia się dzisiaj, dla mnie, starego, tak jasnym i tak czystym światłem, że wszystkie jej wady i niedostatki znikają, a pozostaje tylko stary przyjaciel domu—jako typ, następca owego wiecznego rezydenta,—co mię, małe chłopię, na swych kolanach wozil.

Ale odrywam się od tych wspomnień człowieka, a wracam do niewyczerpanego bazarza!

Wśród tych zamglonych już dziś obrazów, zapomnianych opowiadań, została mi żywa w pamięci powieść o jakimś zamku w *Hiszpanii*, starym, opuszczonym, samotnym, w którym coś straszliwego ludzi. Otóż Kurosz raz jednego poszedł w zakład z kolegami szwadronu, kwatrującego w sąsiednim miasteczku, że sam jeden przenocuje w zamku. Legenda miejscowa opiewała, że nikt nie mógł żywym ztamtąd powrócić.

Kurosz się przecież nie cofnął: pojechał, wziąwszy z sobą, naturalnie, nieodstępnych nigdy, parę pistoletów *Lazzaro-Lazzarini* (sławnego w owym czasie fabrykanta broni w *Neapolu*), którą sam jeszcze widziałem.

— Spałem—jak mówił—doskonale i zakład wygrałem. Ale to rzecz najmniejsza—chodzi tu o szczegóły tej wyprawy. Co widział? Co słyszał tej nocy Kurosz w zamku? Oto, jak powoli, powoli ucichało wszystko dokoła, wśród tego pustkowiecia; jak zapalona świeca, słabo i niepewnie migiała wśród ogromnej i pełnej cieniów komnaty; jak wyteżone ucho żołnierza łapało każdy najmniejszy szelest, jak każde uderzenie skrzydła nietoperza rozlegało się po zamku, niby wystrzał z pistoletu; jak nieustraszony śmiałek wsłuchiwał się i czekał—czego? A ja, drżałem, jak listek, słuchając go, z wytrzeszczonymi oczyma na jego gęste, nawisłe brwi, co dziwnie mrugały za każdym słowem.

Nie—nie o to nam chodzi—nie o banialuki Kurosza i moje, nie o moje przestraszy... ale—otóż przychodzę na koniec do kłębka. Kiedy Kurosz, wchodząc do zamku, znalazł się w ogromnym, jak kościół jaki przedpokojem, zobaczył troje drzwi zamkniętych—dwoje po obu stronach tej sali—a trzecie, bardziej olbrzymie, naprzeciw. Nad temi środkowymi drzwiami, jaśniejący tak żywo, jakby wczoraj skończony, rozwijał się ogromny obraz malowany *al fresco* na murze, wyobrażający pewien rodzaj szarady, a u spodu napis *poarabsku*. Ani weź zrozumieć, dodawał naiwnie

Kurosz, przyznając się otwarcie, że *poarabsku* nie umiał.

Malowidło przedstawiało, naprzód: ogromne oko w trójkącie; dalej starca nagiego, uciekającego, ze skrzydłami i z kosą na plecach, a za nim goniący skielet, równie z kosą podniesioną w górę; a na koniec—ogromną postać kobiecą, w czarnej grubej zasłonie, z wyciągniętymi ramionami, jakby czekającą na przybycie starego zbiega.

— Uderzony tajemniczością tego malowidła i ogromem drzwi, w których zamku tkwił klucz niepospolitych rozmiarów, postanowiłem—mówił Kurosz—wejść do wnętrza, do którego prowadziły: klucz obrócił się dość łatwo, ale, za odwróceniem drugiego spustu, rozległ się taki łoskot wśród zamczyska, jakby wystrzał karabinowy; drzwi się rozwarły, a przestraszone stado nietoperzy, które się tu wcisnęło przez potłuczone szyby od okien, rzucając się ku światłu mej świecy—zgasiło ją i omal mnie samego nie obaliło o ziemię. Zapaliwszy nanowo świecę, kapitan znalazł się we wnętrzu zamkowej kaplicy. Pośrodku wznosił się ogromny, padający w ruinę katafalk, a na nim całunem okryta trumna! Jako dobry katolik, Kurosz ukląkł i odmówił pobożnie, za duszę nieboszczyka Ojca nasz, *Zdrowaś Marya* i wieczne odpocznienie. Zamknął drzwi napowrót i udał się ku tym, które były po prawej stronie wchodowej sali. Był to salon—jak wszystko w tym zamku—opuszczony od niepamiętnych czasów; grubą warstwą pyłu pokryte były stare, wytworne meble i ciężkie obicia; dalej był drugi, mniejszy salonik, a na koniec sypialnia—rzecz dziwna!—utrzymana czysto, i łóżko było jak świeżo zasłane; pokój narożny, nie miał innego wyjścia, prócz drzwi od salonu i dwóch ogromnych okien; strategicznie był to punkt obrony: rozlokowałem się więc tu, *stante pede*, zostawiając na jutro rozpatrzenie innych części zamku.

— Długo—dodawał Kurosz—nie mogłem zasnąć, nie z obawy jakiej. Boże ucho! tylko tak mię męczyła ta posępna, malowana szarada i jej arabski napis!—ale na koniec sen przemógł i zasnąłem tak głęboko, że mię dopiero obudziło ze snu silne kołatanie od drzwi sypialni, którem był na klucz zamknął i głośna rozmowa. Porwałem się z łóżka i chwyciłem za pistolety, ale je zaraz odłożył na stronę, bo dzień już był jasny i słońce biło w okna sypialni, a cały skweres za drzwiami był sprawą moich towarzyszy: niewidząc mię nadrankiem wracającego do miasta, przyszli mię szukać na zamku. Wygrałem więc zakład, ale w tej głupiej mieścinie hiszpańskiej, nie mogłem znaleźć nikogo, ktoby mi wytłómaczył ów napis arabski. Dopiero, udawszy się do bliźkiego klasztoru *Benedyktynów*, znalazłem rozwiązanie szarady. Napis tłómaczył przedmiot obrazu, który malował ostatni zamku właściciel; miał on znaczyć: „*Bóg widzi, Czas ucieka, Śmierć goni, Wieczność czeka!*”

Tak długiej potrzeba było gawędy staremu kronikarzowi waszemu, aby dojść do tych konkluzji napisu, który w każdym czasie i nad każdymi drzwiami możnaby sprawiedliwie położyć. I oto też sama wieczność, o nieprzeniknionych zasłonach, zamknęła w swoich ramionach tyle ubiegłych wieków, a śmierć doścignęła tylu pokoleń. A dziś, aby tu nie wspominać, chyba o wybitniejszych jednostkach; po młodziutkim następcy cesarskiego tronu *Napoleonidów* wzięła trybuna *Gambette*, najpopularniejszą postać *Demokracji Francuzkiej*, a następnie hr. *Chamborda*, ostatnią gałąź królewskiego szczepu. Trzej główni przewodcy trzech najgłówniejszych stronnictw zeszedli ze sceny; a czy to zniknięcie zmieniło choć na jotę stan i położenie *Rzeczypospolitej*? Bynajmniej; dla niej, jak dla *Filipa Schillerowskiego*, ludzie, są to liczby: jeden, dwa, trzy i t. d.—jakkdyby Bóg chciał ją zostawić własnym siłom i własnym instynktom! D. 31 Grudnia i 5 Stycznia, w rocznicę śmierci i pogrzebu trybuna, kilkunastu najbliższych przyjaciół zebrało się w mieszkaniu jego w *Ville d'Avray*, dla uczczenia pamięci. Dziś było ich kilkunastu, jeszcze za rok będzie kilku, a potem sprzedadzą się „*Les Jardies*” i będzie koniec tej pamięci.

Śmierć goni! Oto w *Grudniu* dwie jeszcze osobistości literackie i polityczne zniknęły ze sceny:

Henryk Martin, historyk i senator, i de Laprade poeta! Rzecz dziwna, ci dwaj ludzie mieli większy daleko rozgłos, niż wartość. Jeden i drugi, — były to indywiduala średniej miary i w życiu ich sprawdziły się te słowa najlepiej: *aurea mediocritas* przenosi wszystko na ziemi.

Wiktor de Laprade urodził się w 1812 roku, roku i dla Francji tak strasznym, jak 1871. Dzień i ojciec byli lekarzami; a że chłopiec od dziecka był słabej komplexy, puszczono mu więc trochę wody co do nauki, i dano pewną swobodę i niezależność, która się potem w całym jego życiu odbijała. A że w tej górskiej, trochę dzikiej rodzinnej okolicy Corèze, nie go nie uspasabiło do poetyckich marzeń, i on też się sposobił do medycyny w początkach, ale podróż odbyta dla zdrowia na brzegi Prowancyi zadecydowała od razu o całej przyszłości młodego medyka: de Laprade został poetą, ale poetą w znaczeniu klasycznym. Był to kunsztowny, prawidłowy i szczęśliwy wierszopis, ale nie poeta, w znaczeniu, jakie my temu nadajemy słowu.

(Dokończenie nastąpi).

WIEDEN-PESZT

(KORRESPONDENCYA).

Nowe ognisko życia umysłowego w Wiedniu. — „Związek prasy zagranicznej”. — „Król wódki”. — „Jeszcze Luter”. — „Nowoczesne wielkości”. — „Die Dioskury”. — „Podróż po Wschodzie” arcyksięcia Rudolfa. Betleem. Mar-Saba. — „Krolewicz Mark,” z ilustracjami Rybkowskiego. — Wzory robót kobiecych. — Pani Jokay. — Legenda o maszynie do szycia.

Nowe ognisko ruchu umysłowego *międzynarodowego* przybyło w Wiedniu w *Związku prasy zagranicznej*. Na zebraniach towarzyskich co tydzień pogadanka przeplatana bywa muzyką, deklamacją, wykładami (causeries), gdyż czytelnicy, artyści wszelkiego rodzaju chętnie korzystają ze sposobności przedstawienia siebie i swojej sztuki w gronie dziennikarzy, którzy obecnie 85 dzienników reprezentują. Wszelkie też znakomitości, i wogóle przejeżdżający cudzoziemcy, spieszą na te zebrania, z których polityka jest wykluczona, a które dla członków następczą sposobność do nawiązywania coraz szerszych stosunków i znajomości. Grał w związku skrzypek, młody Belgijczyk, który niewątpliwie wkrótce stanie się rozgłosnym. Zpomiedzy gości wymienię: kap. Wohlgemutha, hr. Wilczka, cały komitet wystawy elektrycznej, burmistrza rzymskiego ks. Torlonia; a podam sylwetkę człowieka, filantropa, który już w całej Europie jest znanym a w swojej ojczyźnie błogosławionym i nazywanym się tam *królem wódki*. Lars Olsson Smith, syn chłopca, Szwed, ma lat 50; mężczyzna rosły, o rysach łączących dobroć z energią; gentleman, ale pełen prostoty; na pierśsiach tuziny orderów; jest członkiem Izby Wyższej w Sztokholmie. Do Wiednia przybył, gdyż tak mu wypadło z jego studyów, mających dobro ludu, robotników na celu.

Będąc chłopcem piętnastoletnim, dostał się on do agencji okrętowej w Sztokholmie, jako Waterclerk. Czynnością jego było wypływać łodzią naprzeciw okrętom i odbierać od nich papiery legitymacyjne dla prędszej manipulacji. Największa część okrętów przywoziła wódkę z prowincji kartoflanej Schonen; a w Sztokholmie była giełda spirytusowa. Jako dobrze znany kapitanom i właścicielom okrętów, Olsson po kilku latach zaczął sam wódką handlować, a po dalszych latach stanął na własnych nogach, założył gorzelnię i rafinerię, które go zbogaciły. Już wtedy umiał sobie zdobyć zaufanie i miłość, jako filantrop; został też wybranym posłem; sprzedał swoje fabryki i stanął na czele prawodawczego ruchu przeciw *zarazie wódki*, a zarazem rozpoczął na wielką skalę prace filantropijne. Jako mecenas robotników walczył o prawo zakazujące przywozu fuzlu, a na wzór amerykański organizował propagandę wstrzemięźliwości od wódki, zupełnego unikania

szynków, a wprowadzenia posilnego piwa. Nie żałował w tym celu wielkich nakładów, żeby dla robotników urządzić przyzwoite towarzyskie gospody. Dotąd w Sztokholmie i Gothenburgu zobowiązało się na jego ręce 25,000 robotników nie pić wódki i nie chodzić do szynków, których liczba codziennie się też umniejsza. Wśród tych prac dokonał wielkiej reformy w handlu winą w całej Szwecji. Zwiedził kraje wina: Francją, Hiszpanią i przekonał się, że Szwecja dostaje z tamtąd wina trzykroć drożej, niżby to przy rzetelnym zarobku kupieckim być powinno, nadto wina te ulegają powszechnie fałszowaniu; a przyczyną tego było mnóstwo pośredników, którzy z handlu winem ciągnęli lichwiarskie zyski. Olsson wypowiedział im wojnę, zaczął sprowadzać całe ładunki win lekkich i szlachetnych, otoczył się sztabem chemików, którzy badają każdą beczkę i wydają certyfikaty, jeżeli wino jest prawdziwe; założył wielkie magazyny, sklepy, sklepy po miastach i po wsiach, i sam na początek zniżył ceny o jedną trzecią. Dokonawszy tej reformy na użytek dobrobytu i zdrowia ludności, ubezpieczywszy sumienny charakter przedsiębiorstwa, odstąpił je znowu w inne uczciwe ręce; sam bowiem zajmuje się wyłącznie teraz losem ludności robotniczej, zwiedza w tym celu całą Europę, uczy się języków każdego kraju, który zwiedza, żeby mógł z ludnością robotniczą bezpośrednio się stykać; a następnie wróci, ażeby zdobyte doświadczenia w ojczyźnie zastosować. Król wódki jest naczelnikiem robotników, jako ich reformator i dobroczyńca. Zdarzają się jeszcze przecie wielkie charaktery o niezłomnej woli; w historii cywilizacji zajmie kiedyś ten „król wódki” wybitne i zaszczytne stanowisko.

O Lutrze były dwa publiczne wykłady; prelegenci byli ożywieni zapalem. Pochwały na cześć *światła* przez reformacją rozszerzonego były nieco jednostronne; dosyć przypomnieć namiętne potępienie Kopernika przez samego Lutra, oraz nietolerancją, którą tak samo się odznaczała reformacja, jak i inne wyznania. Niemniej jednak może się chlubić naród niemiecki Lutrem, który, bądźco bądź, pozostanie jedną z największych i najoryginalniejszych postaci historycznych.

Rzadko mi przychodzi zdawać sprawę z utworów literackich; pisałem już raz o tem, dla czego Wiedeń nie jest i nie może być żadnym ogniskiem literatury niemieckiej, chociaż ma pierwszą niemiecką scenę. Dzisiaj mam przeciw przed sobą okazy dla tej rubryki.

Wielkiego rozgłosu doznała powieść z wiedeńskiego życia: *Nowoczesne wielkości* — przez B. Aba. Nie literacka jednak wartość była powodem rozgłosu; przeciwnie, pod tym względem, co do języka, budowy, stylu — jest to utwór partacki, poniżej wszelkiej przeciętnej miary. Ale jest to pamflet polityczny; autorem jest jeden z byłych arystokratyczno-federacyjnych ministrów, a bohaterami dwaj byli ministrowie t. z. demokratyczni, ludowi: Giskra i Lasser — Kruty i Grüner, dwaj bettelstudenci, niemcy morawsko-czescy. Autor rozwija okres ich kariery na tle epoki szwindlu i frazesu. Kruty przebija się polokajsku przez świat pseudo-arystokracji żydowsko-giełdowej, wypływa jako mistrz frazesu — ale ta excellencya kończy haniebnym processem o „zaliwne” (Trinkgeld). Grüner idzie drogami biurokracji akkomodującej się również potęgom giełdowym, a umiera jako excellencya, rozpaczając nad światem, w którym wszyscy grzeszą. Autor przedstawia czasy, w których dla orderu milkną wyrzuty sumienia, concessye są kupne, szlachectwo za pieniądze, potężni przystępni; ma on tylko jedną barwę czarną: urąganie, karykaturę, nietylko z ludzi, ale i z rzeczy; nie ma żadnej idei, żadnej zdobyczy oświaty i postępu, któraby w oczach jego miała jaką wartość; wszystko jest brudem, spekulacją, wyzyskaniem, oszustwem. Powieść ta jest satyrą bardzo niskiego rzędu, bije z niej tylko jedno uczucie: nienawiść. Stronictwu autora zaszczytu ona nie przynosi; ale że jako pamflet, gryzie, pluje, kopie, przeto na razie ma rozgłos, jak każdy skandal.

Dioskury, znany rocznik towarzystwa urzędników, obfituje w nader cenne rzeczy, oryginalne i przekłady; między innymi poetki hr. Wickenburg-Almassy, pośmiertny utwór Aglai Enderes,

Holuba, aforyzmy Maryi Eschenbach..... a wielką ozdobą są obszerne ustępy z przygotowywanego do druku dzieła następcy tronu arcs. Rudolfa: *Podróż po Wschodzie*. Arcks. Rudolf stał się od niedawna bardzo popularnym z dwóch powodów: jako protektor wystawy elektrycznej bardzo był czynny, otwarł ją pod hasłem: „światła, więcej światła”, a zamknął przemową, w której solidaryzował się z pracami „umysłowej arystokracji”; powtórę, małżonka jego, Stefania, lubi Wiedeń, często się pokazuje, dotrzymuje placu przy uroczystościach, — więc jest bardzo lubianą i przytem stokroć powabniejszą, niż na wszystkich portretach.

Arcks. Rudolf pisze rzeczywiście sam bruliony swoich dzieł a tylko mechaniczną już pracę adaptacji do druku powierza pod swoim okiem komuś zaufanemu.

Przytoczę tu dwa ustępy z dzieła ostatniego dla zapoznania z autorem: a treść ich zapewne będzie zajmująca:

„*Betleem*. Miasto leży na górzystym grzbiecie; po stromych pochyłościach zwiesza się malowniczo, podłużnie; wśród skalnych ścian są terasy winnicami i gajami oliwnymi obsadzone, przez co krajobraz otrzymuje wygląd przyjemny. Domy są z białego kamienia, o płaskich dachach, a kopuły i wieże kościołów, terrasy i klasztory — wszystko to nadaje światemu miejscu pozór wielkiego miasta, którem ono nie jest. Zaraz poza pierwszymi domami wchodzi się w wąską uliczkę; bruk nierówny, budowle drobne, brudne mury, ciągle z góry na dół, z dołu do góry: oto pierwsze wrażenie. Lecz zarazem otwiera się sposobność do zajmujących etnograficznych studyów. W wyższym stopniu, niż Jerozolima, jest Betleem typem starego hebrajskiego miasta. Ludzie, których się widzi na płaskich dachach, po ulicach i w oknach, są to dawni, biblijni żydzi, tacy, jak ich fantazyja nasza sobie wyobraża. Wielkie turbany, faldziste szaty, pstra odzież wierzchnia, bogaci w stroju Faryzeuszów, ubodzy, to ów lud, który pierwszy z ust Zbawiciela na ulicach i polach słyszał Błogosławioną Naukę. Typ twarzy także jest prawdziwie hebrajski: długie, łukowe nosy, blada cera, czarne albo czerwone brody, kędzierzawe, w dwa sploty rozdzielone — jak to widać na obrazach Chrystusa i Apostołów. Kobiety zwracają szczególnie uwagę; noszą szerokie, faldziste, barwne szaty, na głowie biała, nader malowniczo zawiązana chusta, blada pleć, cudne oczy, rysy i włosy. Nie widziałem nigdy tak pięknych kobiet, jak w Betleem, i tak wiele; są to modele na obrazy Matki Boskiej; nie można wyobrazić sobie wspanialszych i właściwszych. Zdziwionemu pielgrzymowi wydaje się, że we śnie przeniesiony został w czasy Zbawiciela, gdy Marya w ubogiej chacie Boga-człowieka powiła, a mędracy ze Wschodu, idąc za gwiazdą, przybywali od dolin Jordanu, gdzie były ich wolne pasterskie państwa; gdzie one i dzisiaj istnieją. Zdaje się, że oglądamy wszystko na jawie, co w latach dziecinnych widywaliśmy w szopce. Betleem swoją zewnętrzną stroną, a zwłaszcza jego święte ustroenie, jest typem dla szopki, typem przyjętym przez wierzących malarzy Średnich Wieków, a zachowanym w każdej szopce...”

...., Wieczór był bardzo piękny, słońce zachodziło; trzody wracały z pasterkami; głosy dzwonek mieszały się z melancholicznymi pieśniami, a z Betleem dochodziło z wieży: Ave Maria. Cienie przedłużały się coraz więcej, ostatni czerwony płomień zniknął z gór Martwego Jeziora, osły leciały na swoje legowiska, a szkał przekradł się, niby widmo przez dolinę. Skierował on się ku mojemu schronisku, lecz wiatr nie sprzął jego węchowi i chytry zwierzę zboczył za skały. Szczególna, przejmująca melancholia panuje nad pustymi jarami Palestyny, zwłaszcza wieczorem — i można sobie wyobrazić, jak te ponure miejsca przyciągają dzikie zwierzęta, jak tam hyeny, lwy, szakale razem koło starych grobów wyją. Przed zapadnięciem ciemności, porzuciłem wilgotną, chłodną kryjówkę i pośpieszyłem koło wsi, do obozowiska. Nademną unosił się cień; strzeliłem, i biedny bocian padł ugodzony...”

O klasztorze Mar-Saba czytamy:

„Skamieniało i utrzymało się tutaj w pierwo-

tnym kształcie wschodnie Chrześcijaństwo ascetów pierwszych wieków. Widzimy się mimowolnie przeniesionymi w początki Chrześcijaństwa, między stare osady pustelników góry Atos i podobne inne, gdzie pobożni ludzie, później świętymi ogłoszeni, na dalekim Wschodzie w ciągłej modlitwie, jak liśy w jaskiniach przebywali. To jest pierwotny kościół a dzisiejszy Mar-Saba przetrwał jako czysty, nieskażony okaz onego stanowiska pobożnych pustelników trzeciego i czwartego wieku. Nie jest to klasztor, według europejskich pojęć, lecz osada, grono samodzielnie żyjących pustelników, których niebezpieczeństwa do zajmowania wspólnego miejsca skłaniają. Na górze tej nie kwitną nauki, niema też tutaj bujnego życia: nie, tylko modlitwa, codziennie tażsama adoracja, zupełne umartwienie. Syn wieku XIX-go, Europejczyk zachodni, nie może się już wmyśleć w to życie; tylko Wschód może wydawać taki fanatyzm i utrzymywać go. Rabini, którzy jęczą pod starymi murami świątyni; derwisze, którzy całe życie skazują się na nieruchomość, lub kręcą się i kaleczą: czyliż to nie tosamo zjawisko? Istota rzeczy tażsama, tylko formy odmienne. Asceci w Mar-Saba, nie używają potraw mięsnych, tylko jarzyny i chleb; dzwony zwołują ich razem do kościoła na wspólne modły; o północy odprawiają nabożeństwo, a stare greckie śpiewy milną dopiero z brzaskiem jutrzeńki“....

„Opowiadania o szakalach, cowieczór powracających, bardzo mnie nęciły: więc za zezwoleniem pustelników, wczółgałem się przez ganki i schody do jamy. Ukryłem się obok starej cysterny ze dwoma głazami. Było tam straszno; przedemną łysa ściana skały, za mną w skałach cele mnichów, nademną, przez wąską szczelinę, widok kawałka firmamentu. Pod wieczór zaczęły wlatywać szpaki, sokoły, gołębie do moich jam, jeszcze czasem odezwał się głos ptasi; nastąpiła chwila jakby świętego sabatu. Zmierchło się; głośne dzwony greckie wzywały do modlitwy. Zaledwie ostatnie odgłosy ucichły, o 20 kroków pojawił się szakal. Strzeliłem, i rad byłem ze zdobyczą uciekać z nory, która leży na poziomie Morza Śródziemnego. Ołowiane powietrze zatrzymywało oddech, gniołło piersi, obezwładniało całe ciało; następnych dni szliśmy głębiej, było jeszcze ciężiej“....

Z ilustracyami *Rybkowskiego* wydał Gröber *Serbskie pieśni o królewiczu Marku*, znane u nas w kilku opracowaniach. Niemcy przyjęli z wielkim uznaniem to dzieło, które ich pierwszy raz zaznajamia ze wspaniałą ludową epopeją południowych Słowian.

Pedagogów zajmie zapewne wiadomość o dziele: „Pisma pedagogiczne Marcina Lutra“—przez proboszcza Schumana. Wiedeń u Pichlera“, — Wspomnę tu wreszcie trzecie już pomnożone wydanie: „Wzory stylowych robót ręcznych dla szkoły i domu“, przez panią Bach, znaną dyrektorkę szkoły haftów w Wiedniu, odznaczoną orderami—a która w tym roku przyjęła Wyznanie Katolickie.

Przenieśmy się na chwilę do Węgier.

Najlepszą cząstkę Węgier mieliśmy tu na chwilę w Wiedniu; *Jokay* miał w Towarzystwie przyjaciół literatury wykład o *Petőffim*: to jakby obelisk mówił o piramidzie. Lewiński deklamował kilka utworów poety. *Jokaya* przyjęto i pożegnano owacją, a podziękował on słowami: „Węgier przybywał do stolicy Austrii nawet wówczas, gdy Wiedeń miał opinią *ciemnizyciela* narodowosci; tem chętniej przybywa on teraz. Muszę ja wyznać, że miłość narodu własnego, nawet w jej ułomnościach, mam za cnotę. Powróciwszy, opowiem: tam nas kochają, my musimy wzajemnie kochać. Miłość prowadzi do wolności, nienawiść do jarzma. Ten wieniec od was—będę się starał na niego zasłużyć“.

Za *Jokayem* śpieszmy do Pesztu na bardzo piękną i bardzo rzadką uroczystość.

W r. 1833 grano w Budzie sztukę: „Benjamin z *Polski*“. Na afiszu stało: „Nina pokojówka—panna Rosa Laborfalvi“.

Tego roku, 1883, w Grudniu, grano w Peszcie Szekspira „Koryolana;“ „Volumnia, matka Koryolana — pani *Jokay*“. Oto dwie daty do jednej osoby się odnoszące, a osobie tej zgotowały Węgry całe wspaniałe jubileusz 50-letniej artystycznej pracy.

Jest to historia prosta, a podniosła. Ojciec *Rosy*, teolog, został aktorem, a potem, dla wędrownego wówczas teatru węgierskiego, tem, czem u nas byli *Bogusławski* i *Kamiński*; aż doczekał się utworzenia narodowego, stałego teatru w r. 1877. *Rosa* marzyła o teatrze, lecz szło jej źle, porzuciła go. Po śmierci matki, powróciła na deskę, walczyła ciężko; aż gdy przypadek sprawił, że musiała objąć naraz role koturnowe, tragiczne, ona, subretka nieśmiała,—naraz urosły jej skrzydła i wkrótce stała się pierwszą artystką, ulubienicą Węgier. Już istniał teatr narodowy, grywał narodowe i obce dramata, a jeszcze los artystów był cygański. Tylko w ziemie mieszkali w mieście; na lato urządzali tanią osadę wspólną na *Schwabenberg*; tam śpieszyli po przedstawieniu, ztamtąd rano wracali na próby. Ale jakież to był zapal! *Arystokracya*, *mieszczanstwo* popierało jeszcze teatr niemiecki; trzeba było z nim konkurrwać. Próbkę tej konkurencji okaże przykład. Niemcy od kilku tygodni zapowiadali dramat: „*Maryanna, matka z ludu*“. Tymczasem *Csako* przetłómaczył sztukę przez jedną noc na język węgierski, na drugi dzień rozdano role, przez trzeci odbywały się próby, a czwartego pojawiły się afisze i odbyło się przedstawienie, na zdziwienie i rozpacz Niemców. Nadszedł rok 1848. Dnia 15 Marca miał być grany dawniej zabroniony dramat „*Banus Banc*“. Lecz publiczność zamiast słuchać, wyprawiła w teatrze owacją wypuszczonemu z więzienia *Fancsicsowi*. *Petőffi*, *Vasvary*, *Jokay*, mieli mowy; a zpoza kulis wyszła *Rosa*, w kostiumie królowej i przypięła *Jokayowi* narodową kokardę. Ta scena rozstrzygnęła o losie tych dwojga ludzi. Dziewczyna, która najpiękniej *mówiła* powęgiersku, została żoną człowieka, który najpiękniej *pisze* powęgiersku...

Jokay musiał uciekać, ukrywać się; żona odszukała go, podzieliła wygnanie i nędzę. Nareszcie pozwolono mu wrócić, lecz żona rozplakała się: „Jakże ty pójdziesz, chory i w tem podartem ubraniu? Musimy iść piechotą,—a but dziurawy, deszcz leje: zamoczysz nogi“...

Jokay odpowiedział: „Nie turbuj się, moja droga; but ma dziurę i z drugiej strony, to woda wypłynie“...

Piszą krytycy węgierscy, którzy wykazują liczne ślady *Rosy* w dziełach *Jokaya*, liczne o niej wspomnienie i jej wzór w wielu postaciach,—że *Jokay* nie byłby tyle skarbów talentu i pracy nagromadził, gdyby nie miał był domu, a w nim skarbu prawdziwego, który nie przestał ani na chwilę być jego słońcem — teraz już przez lat 35. Pani *Jokay* powróciła na scenę; ona odtwarzała matrony i bohaterki węgierskie, oraz klasyczne postacie wielkich poetów. Przez 37 lat była dumą sceny węgierskiej a rozkoszą publiczności; usunęła się w r. 1863, potem kilka razy jeszcze grą swoją narodowe uroczystości uświetniała, a teraz ostatecznie pożegnała się ze sceną. Ideały poetów przedstawiane na scenie—mogą przecież niekiedy godzić się z życiem, z jego obowiązkami i prawami.

Rzadko zapoznajemy się z literaturą węgierską; szkoda wielka, że język tak wielką jest

przeszkodą, bo literatura ta ma wiele świeżych sił, a nadzwyczaj dużo oryginalności.

Wspominałem już raz o poecie *Kiss*. Wydał on teraz utwór, z tytułu nader dziwny, a przecież bardzo prawdziwy i niezmiernie wzruszający: *Legenda o maszynie do życia*. Warto opowiedzieć bodaj osnowę, która okazuje, że dla poety wszędzie jest poezya, nawet w maszynie i w warstacie, jak tego już *Beck*, *Freiligrath* i *Coppée* dowiedli.

Cała bajka wymaga kilku słów. Biedna szwaczka utrzymuje rodzeństwo, i własne szczęście mu ofiarowała. Oto wszystko. Szwaczka bohaterką, magazyn konfekcyi sceną, nieznanie, złamane serce przedmiotem naszego zajęcia! Toż-to powszedniość, proza, która przecież w ręku poety staje się poezją.

Bohaterka *Kiessa* jest bliską krewną bohaterki w *Zoli* „*Au bonheur des dames*“: tażsama walka o życie, miłość rodzeństwa, trudności awansu, sceny upokarzające. Lecz u *Zoli* osiąga bohaterka szczyt osobistego szczęścia wskutek cnót swoich. U *Kiessa*, który jest pesymistą, inaczej, tragiczniej, a nadto, to poemat wierszem; z formy zbliżony do poematów *Byrona*, co do budowy; lecz co do pojęcia, co do stylu opowiadania, pełnego niewysłowionej prostoty,—zupełnie oryginalny.

Zaczyna się to dziwnie. Poeta otrzymuje zaproszenie na obiad do przyjaciółki, u której ma poznać *Terese*. Jest ona najstarszą z sześciu sióstr. Matka umarła; nastąpiły złe czasy pod macochą. Ciężki los dzieci, dojrzewanie *Teresy*, to pierwszy obraz. Drugi obraz: *Teresa* ze wsi przeniosła się do miasta, szuka pracy, chleba dla sióstr. Smutnie maluje poeta nędzę społeczne. *Teresa* dostaje się do maszyny w magazynie konfekcyi; loskot maszyny staje się melodią jej życia; loskot ten przemawia do niej głosem serca i sumienia.

Teresa awansuje; uszyła majstersztyk, ale *strona*, niezadowolona, ciska suknią, obrywa szarfę. *Teresa*, jakby piorunem rażona, zaledwo westchnęła: *przepadło! Strona* dosłyszała, zjęła ją litość, przyjmuje suknię, zachwyca się nią, sama przyszywa szarfę. Kłuje się w palec, krew trysnęła—*Teresa* pocałowała ją w rękę.

Czwarty obraz. *Teresa* już dosyć wygodnie urządzona, a zawsze ołtarzem jej jest maszyna, a siostry wychowuje. Jedną po drugiej umieszcila już bezpiecznie; jeszcze tylko *Margit* przy niej została. Ubyło trosk, przebudza się serce, puka do niego miłość. Raz wpada *Margit* i powiada, że pewien młody człowiek spotkał ją, podniósł w rękach i zuchwale pocałował. Następuje *sialanka*, *Margit* kocha — tegosamego, o którym *Teresa* marzyła, sąsiada, biednego studenta. Ten choruje, *Teresa* pielęguje go. Wyzdrowiał, śpieszy do *Teresy*; dziękuje jej, opowiada swoje nadzieje, widoki, zamysły, że chce się żenić. Ona szyje, maszyna warczy, a serce jej drży. Sąsiad prosi o rękę *Margity*; maszyna stanęła i serce *Teresy* przestało bić... Ona jednak jest *Margicie*, nietylko siostrą, ale i matką; błogosławi jej na drogę życia.

Poemat zaczął się nędzą, kończy się rezygnacją. *Teresa* dalej szyje na maszynie.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się artykuł 11-ty powieści p. t.: **Widmo szczęścia**.

TREŚĆ. Król *Agis*, dramat, przez *Juliusza Słowackiego*.—Obowiązki kobiety nieoświeconej, względem kobiety nieoświeconej.—Któs, powieść, dalszy ciąg). przez *J. I. Kraszewskiego*.—Listy z zegrancicy, przez *J. I. Kraszewskiego*.—Nowiny. — **Korrespondencya zagraniczna**, Wiedeń.

Warszawa.—Druk *S. Orgelbranda Synów*, ulica *Bednarska* Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny *Michał Glücksberg*.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Января 1884 года.